665

BRONIĘ minister Cywińską

Przywódcy związkowi prześcigają się ostatnio w demonstrowaniu swego pryncypialnego krytycyzmu. Ostatnio szef OPZZ zarzucił ministrowi budownictwa, że nie chce budować, a ministrowi kultury, że nie chce opiekować się kulturą. Związkowy boss przyznał wprawdzie, że w teatrze (a w nim wypowiedział te słowa) dawno już nie był, ale dał do zrozumienia, że czuje bluesa i wie, co w kulturze piszczy.

Wielu natchnionych obrońców kultury usiłuje obecnie dyskredytować resort (pośrednio rząd, parlament i wszystkich rzeczników nowego ładu w kulturze, który dopiero się wytworzy), oskarżając go o — jakoby — forsowanie obłędnej tezy, że kultura musi sama na siebie zarobić i że musi poddać się bez reszty regułom rynkowym. Twierdzą oni, że w efekcie państwo wycofuje się z dotowania, co prowadzi do upadku kultury. W dodatku KTT usiłuje imputować społeczeństwu zbiorową głupotę, wyrzucając nam, iż sądzimy — jak napisał niedawno w „Polityce" — że opieka państwa nad dziedziną kultury jest stalinowskim przeżytkiem.

Przed kilkoma dniami, w telewizyjnej audycji, Alfreda Miodowicza poparł jeden z działaczy OPZZ — Stanisław Wiśniewski, roztaczając przed nami obraz kulturalnej pustyni, którą ponoć mamy wokół siebie. A więc, jawi się nam wizja zagłady, przy czym w rolach jeźdźców Apokalipsy obsadza się minister Cywińską oraz wiceministrów: Jagiełłę, Straszewskiego i Burskiego. Współcześni Rejtanowie zapomnieli widocznie, jaką kondycję reprezentowała polska kultura w chwili, kiedy ministrem została Izabella Cywińska. Zapomnieli o kłopotach finansowych i wieloletnich zaniedbaniach. Może więc przypomnijmy, że kilka lat temu Narodowa Rada Kultury przedstawiła bardzo krytyczny raport o stanie polskiej kultury, chociaż głównym architektem tego raportu wcale nie był opozycjonista, którego można by podejrzewać o celowe czarnowidztwo, ale „czerwony" profesor.

Czyż od dawna nie jesteśmy na jednym z ostatnich miejsc w Europie pod względem ilości wydawanych tytułów i egzemplarzy książek? A jaki poziom od lat prezentują przemysły: fonograficzny, elektroniczny, poligraficzny i papierniczy? A czy nie było prawdą, że całymi latami nie remontowano kin i teatrów, aż zaczęły się sypać i walić? Czy nie jest prawdą, że większość zabytków legła w ruinie w ostatnim 45-leciu? A niedoinwestowana kinematografia? A zupełnie przestarzały system biblioteczny, zupełnie jak za króla Ćwieczka? A kompletny brak ładu prawnego (chodzi tu o odpowiednie prawa autorskie, wykonawców, producentów i dystrybutorów)? Do dziś żadne prawo nie chroni np. reżysera teatralnego. A z braku odpowiednich uregulowań prawnych kultura i ludzie kultury tracą mnóstwo należnych sobie pieniędzy.

Przez lata, dziesiątki lat, jeszcze przed rokiem, oskarżało się władze i resort o administrowanie i dyrygowanie kulturą, o manipulowanie kulturą i traktowanie jej instrumentalnie dla celów doraźnie ideologiczno-politycznych, o brak swobód artystycznych i wolności wypowiedzi, o lansowanie „swoich" i szykanowanie opozycyjnych twórców. I raptem dzisiaj Rejtanowie uznają, że było cacy, natomiast teraz nagle jest źle?

Brak pieniędzy, w opinii różnej maści demagogów, spowodowała obecna władza. Tak, jakby dotąd pieniędzy było w bród. Może więc warto przypomnieć, że o niewystarczających środkach mówiło się zawsze, a już na pewno od początku lat 80. W Poznaniu, podczas Biennale Sztuki dla Dziecka w 1981 roku, pisarz Wojciech Żukrowski wołał, że minister Nieckarz (od finansów) jest grabarzem polskiej kultury. (Zawsze mieliśmy skłonność do histerycznych uniesień). A ileż było lamentów za panowania ministrów kultury Żygulskiego i Krawczuka? A jak reagowano w ub. roku, kiedy wicepremier Sekuła (w rządzie Rakowskiego) obciął o połowę dotacje przedmiotowe dla m.in. instytucji kultury (przedstawiciele OPZZ siedzieli cicho). Sam także pomstowałem na tych łamach, bo była to decyzja pozbawiona logiki (odbierała każdemu — dobry był czy zły), ale z pewnością motywowana budżetowym deficytem.

A poza tym, to nie minister Cywińska wyrzucała pieniądze na książki — cegły, na różne dziwne „muzea", na fasadowe imprezy, na filmy, których nikt nie oglądał, na miernotę, wciskaną najczęściej widowni dziecięcej lub młodzieżowej pod hasłem edukacji kulturalnej. Czy minister Cywińska finansowała fasadowe domy kultury? Czy za jej kadencji podupadł zupełnie studencki ruch kulturalny?

Kiedy mówimy dziś o braku pieniędzy, nie zapominajmy, że na kulturę przeznacza się nie mniejszą niż w ubiegłych latach cząstkę budżetu państwa. Licząc w procentach — większą nawet niż w ZSRR. W okresie „kulturalnej pustyni", spowodowanej rządami Cywińskiej nie upadł żaden teatr (choć powinien niejeden). A kto utrzymuje biblioteki, muzea, domy kultury i owe teatry, jak nie budżet państwa? A kto utrzymuje szkolnictwo artystyczne? Wydawnictw jest dziś więcej niż było, a z dawnych też chyba żadne nie upadło. A pisma kulturalne? I one wkrótce odżyją, spokojna głowa. Życie nie znosi próżni. Już powstała fundacja „Kultura 90", która planuje wydawanie tygodnika społeczno-kulturalnego. Ukazują się książki, jakich wczoraj nie ujrzelibyśmy na rynku. Kto więc mówi o powszechnej dyktaturze pieniądza, o terrorze rynkowym, o braku dotacji i upadku — ten zwyczajnie fałszuje rzeczywistość.

Czy zatem jest dobrze? Ależ skąd! Jest naprawdę krucho z pieniędzmi. Bardzo źle — na przykład — że telewizji brakuje środków na realizację własnych filmów, seriali, na bardziej wystawne i wieloobsadowe spektakle teatru TV. Ale prawdą jest, że wynika to ze ślamazarności samej telewizji, która nie potrafi zdobywać pieniędzy, tworzyć programów komercyjnych, wchodzić w spółki z obcym kapitałem.

Na wiele rzeczy brakuje (pocieszające, że brakuje przy okazji na rzeczy zbędne), ale czy w kulturze miałaby obowiązywać zasada mnożenia dotacji, aby ta dziedzina kryzysu nie odczuła? Nikt nie neguje potrzeb kultury i jej roli, ale potrzeby w innych sferach są równie pilne, a zaniedbania bardziej dramatyczne. Przed kilkoma dniami posłowie przed kamerami TV mówili o konieczności lepszej opieki nad noworodkami, co mogłoby zapobiegać tej ilości trwałych kalectw, z jaką się dziś spotykamy. Ale wymagałoby to zakupu bardzo drogiej aparatury dla szpitali, której brak. Dwa tysiące ludzi rocznie — powiedział w tym tygodniu premier Mazowiecki — umiera w Polsce z powodu braku sztucznych nerek. Tymczasem plastycy chcieliby, aby państwo dotowało ich prywatne pracownie i mają za złe Sejmowi, że na to nie przystał.

Uczymy się oszczędności w kulturze, czasem bardzo drastycznych, niemal na granicy rozsądku, rezygnujemy z rozrzutności i niegospodarności, z bezmyślnego wydawania pieniędzy. Uczymy się gospodarności, zaradności, liczenia się z każdym dosłownie groszem, wspomagania siebie samych własną inicjatywą. Uczymy się jednak zbyt wolno, bo środowiska kultury wykazują wiele inercji, zachowawczości, postaw roszczeniowo-lamentacyjnych. Ciągle wielu zdaje się, że może być jak dawniej. Ciągle obowiązuje jeszcze nie taki jak trzeba styl administrowania w kulturze, ciągle zbyt wiele schematów myślenia i działania. Może teraz się to odmieni. Spotkali się bowiem wspólnie (nareszcie!) przedstawiciele Komitetu Porozumiewawczego Środowisk Twórczych, posłowie z sejmowej komisji kultury oraz przedstawiciele resortu. Może zwycięży nowe myślenie i zdrowy rozsądek. Ma rację pisarz i krytyk Artur Międzyrzecki, szef Komitetu Porozumiewawczego, kiedy powiada, że należy ustalić w kulturze preferencje. Dotacja musi być wyróżnieniem. Nie można dawać wszystkim na „przeżycie".

Nie jest też prawdą, że grupa brodatych wiceministrów finansów dybie na kulturę — powiedział dobitnie poseł z ramienia OKP, Andrzej Braun. — **Kulturze nie grozi zagłada, nikt nie zamierza likwidować dotacji, bez których kultura się nie obejdzie. Idzie o to, by fundusze były sensownie wykorzystane, by nie były marnowane. Pieniędzy brakuje we wszystkich sferach i kultura nie jest bardziej pokrzywdzona od innych.**

Dobrze, że takie właśnie głosy pojawiają się dzisiaj.

Błażej KUSZTELSKI